

Tekst i zdjęcia: Jakub Radziejowski

Alaska

historia jednego telefonu

Wszystko zaczęło się od niespodziewanego telefonu. Tym bardziej, że byli u nas goście, na stole stały nie dokończone jeszcze butelki z różnokolorowym winem, a w głowie lekko szumiało.

— Cześć, tu Maciek. Nie przejechałbyś się na Alaskę?

Musiała minąć dłuższa chwila zanim złapałem, o co mu chodzi. Ze jedzie wyprawa, że szukają dwóch młodych (to ja chyba jeszcze na styk się łapię...). Jest jakieś dofinansowanie z PZA, no i trzeba się zdecydować do jutra. A wylot??? Za jakiś miesiąc.

— No i cóż, temat spotkania towarzyskiego był już ustalony do końca. Niby to nie mądre, kasy brak, ledwo co wróciłem z nieudanego wyjazdu do Norwegii, a tu miałbym znowu wyjeżdżać na jakieś sześć tygodni... Ale jak to po chwili zauważył Artur:

— Kuba, nie po to robiłeś te wszystkie Środkowe Zeberka, Klasyczne na Mnichu i Kuluary Kurtyki, żeby teraz odmawiać takiego wyjazdu.

Trudno mu było odmówić racji nie po to... A do tego Ani właściwie pomysł się spodobał... No i cóż było robić:

— Cześć Maciek. Tu Kuba... to ile by trzeba dołożyć z własnej kaski do tego dofinansowania?"

Podróż

Idea była prosta. Jedziemy, jako zespół mający na celu podglądanie bardziej doświadczonych kolegów w akcji. A przy okazji mamy coś załoić. Perspektywy duże, bo rejon pomimo bliskości McKinleya jeszcze nieco dziki; wszystko, co zrobimy będzie pierwszym polskim, no i wreszcie możemy otrzeć się o naprawdę istotne rzeczy we współczesnym alpinizmie. A szanse? No cóż. Dwutygodniowe załamania pogody nie należą podobno na Alasce do rzadkości...

Przygotowania to przede wszystkim nerwówka związana z załatwieniem wizy amerykańskiej, szukaniem sponsorów i teoretycznym zapoznaniem się z rejonem.

We Frankfurcie, skąd mieliśmy lecieć bezpośrednio do Anchorage, okazuje się jednak, że to wszystko betka. Prawdziwe przeszkody pojawiają się zawsze gdzieś w ostatniej chwili, w najmniej spodziewanej sytuacji:

— *Sorry, you can't fly* — mówi nam sprawdzający nas na ostatniej bramce przed wejściem do samolotu pracownik lotniska - *There is a small problem*. Co za k... problem ma na myśli... Jesteśmy tak zszokowani, że nie wiedząc, co się dzieje, zostajemy błyskawicznie oddelegowani w zupełnie inną część lotniska. W tym czasie samolot jest już w drodze na Alaskę...

Okazało się, że z winy agencji turystycznej, nie zostaliśmy poinformowani (nie było tego również na bilecie), że samolot ma międzylądowanie w Kanadzie; w konsekwencji nie mieliśmy w paszportach kanadyjskiej wizy tranzytowej...

Cały dzień schodzi nam na tysiącu i jeden telefonów do Polski, do ambasad w Niemczech, do PZY i do kilkunastu innych miejsc, na których pomoc liczymy. Koniec końców, dzięki „naszym” ludziom w kraju, udaje się przełożyć wyjazd o 4 dni. Tym razem lot ma być bezpośrednio do Anchorage... Przed nami niezapomniane cztery dni we Frankfurcie - najnudniejszym z wszystkich miast europejskich.

Ruth Gorge

Po rozlicznych perypetiach w Ameryce, 4 czerwca lądujemy z Mackiem w Sheldon Amphitheater, obładowani sprzętem, nartami, sankami i niemal 100kg jedzenia. W tym samym czasie reszta ekipy lokuje się po drugiej stronie masywu Moose's Tooth na lodowcu Bucksquina. Sam przelot malutką „Cessną” z „księciem lotnictwa lodowcowego” - Paulem Roderickiem, jest przeżyciem samym w sobie.

Lądowisko w Sheldon Amphiteater
— stąd już tylko kilka mil na nartach. 



Nasza baza 

Potem jeszcze trzygodzinny spacer lodowcem, i wreszcie ciągnąc nasze sanki wylądowane pod jeszcze czyste niebo, osiągamy miejsce bazy. Vis a vis Mount Barrill i filara *Cobry*. Od tej pory, codziennie przez cztery tygodnie, będziemy się budzić z widokiem na *Cobrę* pod warunkiem oczywiście, że nie będzie lało...

Pierwsze wrażenia nie są zdeklarowane. Niby pięknie i dziko; ale jakoś tak zwyczajnie, alpejsko. Patrząc na 1500m urwiska Mount Dickey i jego grań szczytową Maciek mówi: — O! nawisy na grani zupełnie jak u nas, w Śnieżnych Kotłach...

Gdy jakieś dwa tygodnie później z wyżej wspomnianych nawisów oberwało się kilkadziesiąt ton lodu, nie zauważyliśmy nawet najmniejszej różnicy w ich rozmiarach.

Ruth Gorge, czyli kanion utworzony przez szczyty wzrastające nad lodowcem Ruth, położony jest na południowy wschód od najwyższego szczytu Ameryki Północnej. Niby rejon ten sam, ale atmosfera zupełnie inna. Tam wysokość, i hordy walcące na McKinley'a najłatwiejszą drogą; tu wspinanie alpejskie i big wallowe i zaledwie kilkanaście osób na raz. Większość szczytów to okolice 3000m. Za to ściany... od 300 do 1500m. Same legendarne problemy. 90% dróg nie ma powtórzeń. Pełno

logicznych linii, zarówno skalnych jak i mikstowych, rokujących nadzieję na nowe trudne drogi.

Do tego przystawiając złą, alaskańska pogoda. No cóż, jak nam to powiedział Jim Donini — tak jak w Patagonii, tylko jakoś skały nieco gorsza.

Wspinacze amerykańscy i kanadyjscy tak naprawdę zainteresowali się tym rejonem pod kątem robienia dużych, alpejskich dróg i uprawiania big walla, dopiero w latach siedemdziesiątych. Wtedy też powstały pierwsze drogi na Moose's Tooth (*Ham and Eggs* — najpopularniejsza obecnie linia lodowa w okolicy), drogi Charliego Portera (też Moose's Tooth oczywiście dotąd nie jest powtórzona), Kular Japoński na Barrillu (droga dla klientów z przewodnikami). Jednak dopiero lata 80-te i 90-te przynoszą ekstremy głównie ze względu na działalność takich gwiazd jak: Austriak A.Orgler (nagroda Piolet d'Or z 1995 za całokształt dokonań na Alasce kilkanaście nowych, ekstremalnie trudnych dróg, takich jak choćby „*The Pearl*” na Mount Bradley, czy „*Wine Bottle*” na Dickeyu) czy inny wielki rejonu jest Mugs Stump (autor wielu trudnych dróg, ale także kilku łatwiejszych, dostępnych szerszemu gronu wspinaczy).



fot. Z. Martin



Jakub Radziejowski rozpoczyna wspinaczkę ponad headwallem na Eye Tooth

Po tragicznej śmierci tego drugiego w 1992 roku, A. Orgler zrobił drogę na Eye Tooth poświęconą jego pamięci *A Dream in the Spirit of Mugs*. Wreszcie o sławie rejonu świadczą takie nazwiska jak J.Tackle, J.Donini, G.Crouch, D.Chabot, autorzy legendarnych dróg: *Pillar Cobra* na Barrillu, *The Elevator Shaft* na Mount Johnson, *Shaken not*

Stirred na Moose's Tooth czy przede wszystkim *The Bourbon Bottle* na Mount Bradley. Wszystkie są synonimami tego, co najtrudniejsze w alpejskim wspinaniu. Warto wspomnieć, że poza niewielką ilością dróg pokonanych w stylu Big Wall, większość problemów zostało pokonanych w stylu alpejskim (po kilku-dniowych wspinaczkach, bez użycia portali, lin poręczowych i najczęściej w dwu, trzy-osobowych zespołach).

Do sławy rejonu przyczynił się także legendarny amerykański wspinacz Jim Bridwell, który na północnych zerwach Moose's Tooth i Bear's Tooth (od strony lodowca Buckskin) zrobił dwie nowe drogi, z których jedną – *The Beast*, określił, jako swoją najtrudniejszą wspinaczkę w życiu. Warto wspomnieć, że w tym roku nasza big-wallowa elita (J.Gołąb, J.Fluder, S.Piecuch i G.Skorek) dołożyła na ścianie Bear's Tooth nową drogę *You Can't Fly* w bardzo dobrym czasie 10 dni.

My i Ruth

No i co my tutaj robimy?? Pytaliśmy siebie ósmego dnia pobytu, jednocześnie kolejnego ósmego dnia, w którym na przemian padał śnieg i deszcz. „Cholera, czy nie mogliśmy na słonecznego El Capa pojechać. Albo na Madagaskar. Pogoda gwarantowana, sława większa, a koszt pewnie mniejszy”. Już prawie mi się udało przekonać Maćka, że wszystkie złe Fronty Pogodowe, są zawsze ustawione w blokach startowych i czekają, by się udać, tam gdzie ja się wybieram, kiedy niespodziewanie, szczęśliwego 13 czerwca, niebo od rana okazało się być bezchmurne. Szybkie śniadanko, narty zapięte i błyskawiczny przemarsz pod Wisdom Wall – „takie niecałe 400m na rozgrzewkę szybko przemknijemy, a potem uderzymy na coś bardziej serio”. Krótki pasaż, jakim miała być droga „*Game Boy*” (VII+), autorstwa Orglera, okazuje się znacznie bardziej wymagający niż przypuszczaliśmy. Na pokonanie 9 wyciągów

potrzebujemy ponad 7 godzin, a kluczowa (55m) rysa wyciska z nas ostatnie poty. Wbijając w trudnościach jedynekę w myślach gratuluję sobie chwili rozsądku, kiedy wrzuciliśmy do wora kilka haków „tak na wszelki wypadek”. Potem zjazd i już o 22 jesteśmy przy namiocie. Jest jasno, jak w dzień.

— To dobrze — mówimy sobie — inne drogi przytrzymają nas pewnie bardziej, a dzięki temu będzie można iść non-stop.

Następnego dnia głównie wypoczywamy, zastanawiając się nad następnym celem. Nie do końca przekonani decydujemy się na kolejną drogę Orglera. Tym razem pada na Eye Tooth i na *A Dream in the Spirit of Mugs*. Wieczorem rozmawiamy jeszcze z Markiem Synnottem, który wraz ze swoimi kolegami zrobił jej trzecie przejście. Im - „round trip” (do góry i na dół) zajęła 26h. Patrząc po sobie, bez słowa dorzucamy do plecaków po dwa batony więcej.

Drogę rozpoczynamy przed 10. Nie za wcześnie, ale w końcu na Alasce można działać non-stop. Już w ścianie orientujemy się, że nad nami wspina się zespół amerykański. Ponieważ jakość alaskańskiego granitu pozostawia wiele do życzenia, przez pierwsze 12 wyciągów, głównie unikamy kamiennego deszczu. Wyprzedzić nie bardzo jest jak idopiero w połowie ściany Zak i Shannon siadają, żeby odpocząć. W efekcie przez następne 10 wyciągów to my bombardujemy ich. Drogę kończymy koło 23-ej. Odpoczynek na grani i rozpoczynamy odwrót wspólnie z Amerykanami, którzy dochodzą do nas po około 1,5 godzinie. Zjady ze względu na zagrożenie kamieniami robimy we czwórkę. Jak się można domyślać idzie nam to, jak krew z nosa i dopiero po kolejnych 8 h, zasypiając w czasie zjazdów, kompletnie przemarznięci i odwodnieni stawiamy nogę na lodowcu.

Całość zajmuje nam 23h. Nie najgorzej, choć następnego dnia zespół austriacki (młodzi przewodnicy alpejscy – Alex i Julian), dokonuje kolejnego szóstego przejścia



Podczas zjazdów z Eye Tooth Shannon zasypiał w każdej możliwej pozycji.



Cień Wielkiej Góry,
czyli Denali w nocy.



drogi w czasie zaledwie 10h, dokładając do tego nowych 7 wyciągów na prawo od linii drogi. My też mamy swój udział w eksploracji ściany, prostując zaraz za amerykańkami górną część zacięcia.

A potem? Kolejnych pięć dni opadów śniegu z deszczem i popołudniowe rozmowy z miesz-

kańcami „Ruth Town”, czyli międzynarodowego miasteczka, jakie utworzyło się na lodowcu. Są Włosi, Austriacy, Bułgar, Niemka, Kanadyjczycy z Quebecu, Brytyjczyk, Japończycy i oczywiście Amerykanie. Iście doborowe towarzystwo. Niektórzy właśnie wrócili z Patagonii i za chwilę jadą do Nepalu. Inni

przed chwilą wisieli na El Capie, a tydzień po Alasce jadą na Baffina. A niektórzy w planach mają „odpoczynek” w Chamonix — żyć nie umierać — i nie wszyscy są na liście płac North Face'a tylko część z nich.

Rohner

- szczyt doznań

**SZUKAJ KATALOGU SKARPET
I BIELIZNY ROHNER W SKLEPACH
SPORTOWYCH I TURYSTYCZNYCH**

Wyłączny dystrybutor na Polskę SPORT 2000

Biuro handlowe: tel. (071) 373 86 01, fax (071) 373 85 97, www.sport2000.com.pl, ul. Dokerska 7c, 54-142 Wrocław





Dziś o drodze mogę napisać tyle, że raczej miały obydwie strony. Doskonale odcinki przepięknych rys, wymieszane były z najgorszymi fragmentami skały, jakie kiedykolwiek było mi dane iść. Ostatecznie drogę zrobiliśmy w 36 h non-stop (w tym dwugodzinny odpoczynek), kończąc w totalnym załamaniu pogody. Kilugodzinne zejście z drugiej strony to przygoda sama w sobie, podczas której szczęście i Anioły Stróżę były po naszej stronie. Cobra „trzymała do końca”. Nawet na lodowcu, zanim zorientowaliśmy się we mgle, gdzie iść, błakaliśmy się przez godzinę jak dzieci. Słyszac przy tym głosy, szum nieodległej kalifornijskiej plaży i świecąc się jak świetliki (wiem że to niemożliwe, a jednak widziałem, Zak się świecił) W namiocie byliśmy po 47 godzinach akcji...

Potem długa regeneracja sił. Świętowanie z naszymi nowymi przyjaciółmi z lodowca i coraz częstsze myśli o powrocie. Trzeba jeszcze tylko zaczekać na chłopaków...

Na sam koniec — 28 czerwca, zrobiliśmy jeszcze zachodnią ścianę Hut Tower (800m VI+/VII- RP). Jediną istotną cechą tej wspinaczki jest fakt, iż napotkaliśmy na niej na najlepszy jakościowo granit, ze wszystkich dróg jakie robiliśmy na Alasce. Najlepszy, czyli prawie jak w Tatrach... Powrót do namiotu o godzinie 1 w nocy (oczywiście jasno, jak w dzień) i wzajemne obietnice, że to już ostatnia droga. 30 czerwca, dosłownie w ostatniej chwili, tuż przed totalnym załamaniem pogody wracamy „Cessną” do Talkeetny. Pilot, który nas odebrał z lodowca, staje się na lotnisku w Talkeetnie bohaterem dnia. Z naszej strony ogromne dzięki!!!

No i oczywiście wielkie dzięki, Maciek, za kwietniowy telefon. To był kawał niezłej przygody!!!



Zak Martin prowadzi wspinialny trawers w prawo na Cobrze. Wybija północ...

22 czerwca o godzinie 7.30 budzi nas Zak.
— *Come on, guys. The weather is fucking good. Let's go on Cobra.*

Nie do końca przekonani powoli wyczołgujemy się przed namiot. Jeszcze o piątej padał śnieg, a teraz rzeczywiście świeci słońce. Do tego jeżeli mamy iść w non-stopie na *Pillar Cobra* na Mount Barrill, to chyba powinniśmy już od trzech godzin być w ścianie. Ale optymizm Zaka nie pozwala nam się zastanawiać zbyt długo. O 11 wchodzimy w ścianę.

Ze względu na kontuzję partnera Zaka, uzgodniliśmy wcześniej, że na *Cobrę* pójdziemy we trójkę. W non-stopie. Do tej pory droga ta (z 1991 roku) otrzymała zaledwie jedno powtórzenie. Kilka dni przed nami dwójka „French Canadians” przeszła ją w dwa dni, wcześniej poręczując około 300m. Pierwsze przejście J.Tackle i J.Doniniogo („Oh shit, maaan. The rock is perfect”) trwało 6 dni. Pomiedzy 1991 a 2002 rokiem filar widział kilkadziesiąt prób powtórzeń — „none of them successful”. Wszyscy skarżyli się na niespotykaną gdzie indziej kruszyznę.



Wszystkie „Zęby” w jednym rzucie od lewej: Wisdom Tooth, Moose's Tooth (na drugim planie), Bear's Tooth i Eye Tooth (częściowo ukryty).

Korzystając z okazji chcieliśmy podziękować wszystkim, bez pomocy których nasz wyjazd nie doszedłby do skutku:

- PZA, Wrocławskiemu Klubowi Sportów Górskich - Zarządowi Miasta Wrocław, Zarządowi Powiatu Kościańskiego i Firmie STYROPOL (www.styropol.pl) za wsparcie finansowe;
- wszystkim tym, którzy pożyczyli nam narty, thermaresty, maszyny do gotowania, ciuchy, sprzęt;
- naszym rodzicom, którzy nierzadko wbrew sobie założyli za nas niemałe przeciwieństwo pieniędzy;
- tym, którzy będąc w Polsce, pomogli nam przełamać impas we Frankfurcie;
- i oczywiście nieocenionemu Grześkowi Głazkowi (CDWV), bez którego pomocy nic byśmy o rejonie nie wiedzieli.

Maciek Ciesielski na 8 wyciągu Cobry



tor - M. Ciesielski



Marek Ciesielski w zacięciu na zachodniej ścianie Hut Tower



Jakub Radziejowski na Hut Tower

Podsumowanie wyjazdu zespołu M.Ciesielski, J.Radziejowski:

13 VI - *Game Boy* na WISDOM WALL (VII+, OS, 400m) 7h;

15.VI - *A dream in the spirit of Mugs* na EYE TOOTH (2950m.n.p.m.) VII-, 900m (22 wyciągi- długość drogi ponad 1000m), OS, 13 h; w dolnej części zrobiono wariant prostujący za VII; czwarte przejście drogi;

22-23 VI - wraz z Zakiem Martinem (USA) - *Pillar Cobra* na MOUNT BARRILL (2332 m.n.p.m.) VII, C2, łatwy mikst - 900m (długość drogi ponad 1200m), 26 wyciągów; było to trzecie przejście tej drogi i trwało 36 h non-stop

28 VI - *Orgler-Jochler '87* na zachodniej ścianie HUT TOWER (1890m.n.p.m.) VI+/VII-, RP, 800m, 8h;